

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VI.

Warszawa, dnia 3 października 1914 roku.

№ 40.

Andrzej Strug.

„Pieniądz”

Wszelkie prawa autor-
skie i wydawców za-
strzeżone.

Powieść z obcego życia.

4
Ale przyjaciel szydził z tej wielkiej miny.

— Darui. — wyrzekł wreszcie, naśmiawszy się dowoli. — Przypuszczam, że mówisz zemną szczerze i że nic nie udajesz. Przecie nie mamy ze sobą żadnych interesów i rozmawiamy tak sobie, filozoficznie, czyli bez żadnej potrzeby.

— Tembardziej mnie zdumiewasz. Co za przeżytki dawnej obłudy, czyli świętej pamięci uczciwości, że tak powiem, pokutują w tobie?

— No, nie! Obrażasz mnie!

— Nie masz prawa się obrażać. Kto się zaprzata, iak ty, troskami ludzkości, kto nie może żyć bez perspektywy... Ha-ha!... Mój drogi, to są poprostu głupstwa. Ludzie naszego pokroju, a więc o trzy głowy wyżsi ponad tłum, śmieją się ze wszystkich praw społecznych, ze wszystkich trosk świata i nade wszystko z tragicznego zagadnienia o przyszłości, której nikt z nas nie doczeka. Ja kocham chaos świata, dopłatane rojowiska rozbieżnych usiłowań, kocham walkę wszystkich przeciwko wszystkim, upajam się mojem wiecznem niebezpieczeństwem i gardzę całą resztą. Nie ten panuje nad światem, kto coś wielkiego tworzy, ale ten, kto sobie ze wszystkiego kpi. Ja, który mało sto razy stawałem wszystko na karte, wciąż tracąc i zdobywając na nowo, który bywałem nędzarzem i bogaczem, ja, który długie lata spędziłem w więzieniu...

Przy ostatnich słowach Derjac zniżył głos do szeptu.

— Tak cię to razi, mój drogi? — wyrzekł z uśmiechem, patrząc w strwożone oczy przyjaciela. — No tak, przesiadziałem dziesięć lat. Wiesz, jaki z ciebie filozof... W gruncie to ty jesteś bardzo delikatny... Tyś nie bojownik, ty ostrożnie wydlubu-

jesz z ludzi pieniądze i ciulasz je z miłością, z niezmierną i głęboką czcią. Znasz prawo lepiej od adwokata i prześlizgujesz się, jak wirtuoz, między skrętami kodeksu karnego. A w głębi duszy poważasz bardzo szczerze prawo pisane. Gardzisz „bandytami“, no i im wolno nawzajem gardzić tobą — z dumą wpisujesz się do cechu ludzi bogatych i podzielasz wszystkie ich cnoty, cierpisz nad tem, że przyszłość bogactwa nie jest zagwarantowana na dalszą metę i tak dalej. Dambriers, drogi przyjacielu, nie jesteś coprawda episierem, ale niema w tobie czystego typu. Jesteś mieszańcem.

Przyjaielskie te wynurzenia przerwał Moheno.

Młody człowiek wahając i niepewnie zairzał do czytelnika, cofnął się, obeirzał się jeszcze i rzucił na barona błagalne spoirzenie.

Dambriers powstał natychmiast.

— Nietęgo się trzymaj twój meksykanin. Żeby ci nie zgał przed czasem.

— E nie, w gruncie to bardzo mocny chłopak. Inna rzecz, iż może mi tu zwaryować i narobić kłopotu. Wszelkie chryje na parowcu w drodze nabierają dziwnego zabarwienia. Kapitan i otoczenie mogliby zrozumieć oaczenie moją rolę. Jest tu z nami pewien typ, który zanadto opiekuje się moim chłopcem i wyciąga go na wynurzenia, nakłania go do pokuty. Mały może mnie wsypać.

Moheno zaczął szeptać.

Sir Murway wstrzasnął jego sercem i sumieniem. To święty, wielki człowiek. Nic nie można przed nim ukryć. Trzeba wyznać wszystko. Już się nie mogą widywać ze sobą na statku. Cała umowa uległa w odwołaniu. Niech sobie Dambriers wraca z powrotem, iak tylko przybiją do brzegu, niech sobie zo-

stanie w Ameryce, niech robi, co chce. Zaczyna się nowe życie. Niech Dambriers natychmiast zapomni, że go znał kiedykolwiek. Tak być musi, gdyż inaczej sir Murway gotów pociągnąć barona do odpowiedzialności. To człowiek w Ameryce potężny.

Moheno nie żadał zdawania rachunków. Prosił tylko uniżenie o jakie dwadzieścia pięć tysięcy franków, gdyż tam ścisną go w kuratelę, co jest zresztą nieuniknione i potrzebne w nowem życiu. Ale nie można zostać tak już zupełnie bez grosza na drobne wydatki...

Baron słuchał uważnie i życzliwie. Zadał się na wszystko i pochwalił. „Jako stary i doświadczony“, dawał zbawienne rady. Zobowiązał się nawet, że natychmiast po wyładowaniu wypłaci mu nie dwadzieścia pięć a pięćdziesiąt tysięcy.

Wiedział bowiem, że mają przed sobą jeszcze cztery dni podróży.

XVII.

Trzeciego dnia o świcie zaczął dać mroźny wichur od północy. Niewzruszony „Atlantic“, który aż dotąd nie zważał na mnicisze lub większe fale, szturmujące do jego boków, po raz pierwszy od chwili wyruszenia zaczął chylić się na obie strony. Obornie, powolnie, prawie nieznanicznie zapadał się na bok, dźwigał się z wysiłkiem i przechylał się znowu. Leżał na boku, zdawał się wycoczywać i zbierać siły, wreszcie podnosił się, wyprostowywał i prze-walał się nanowo.

Jak okiem sięgnąć, ocean pienił się i burzył. Zewszad tyskały, iak ostrza nożów, białe grzebieńce fal. Wichur, szalejąc w nagłych porowach, wydzieriał strzępy z zagonów morza i miotał po-przestrzeni tumanami wodnego pyłu. Zamglila się i znikła rychło wysoka linia widnokre-gu. Zmalało morze i ciasno uczyniło się oczom przywykłym do jasnego bezmiaru wód.

Chwilami kroplista kurzawa, gnana wichrem, ogarniała cały

świat, chwila mi słabła siła wiatru i odstąpiła się gręboka dal skłębionych fal. Tu i owdzie jakiś samotny żaglowiec, zagubiony w przestrzeni, leżał na boku, nurzał się i wynurzał się znowu, opadał i podnosił się, walczył rozpaczliwie o życie i, zda się, musiał już uleść. Wśród zamętu wałów wodnych zaznaczały się płaskie, rozległe doliny, kopolaste płaskowzgórza. Wszędzie rozhuśtane pochyłości łamały powierzchnię wód w powolnym, potężnym ruchu. Ocean zdawał się zlewać kędys w jakieś nieogarnione czeluście.

„Atlantic“ z łatwością rozgarniał rozpedzone fale, które huśtały na obie strony, zalewając przód statku, ale zsuwał się po ruchomych zboczach i zapadał się ciężko w bruzdy głębokie i rozległe, jak górskie wąwozy. Zapadał wgłęb, zaorywał się dziobem w masę wód i ciężko, powoli, jakby z wysiłkiem i z rozmysłem, dźwigał ku górze swój ogrom.

Te leniwe, powolne, szerokie wahania statku zdołały w ciągu paru godzin zdreczyć ludzi. Życie na okręcie zamarło. Coraz mniej podróźnych ukazywało się na pokładach. Ogromne sale i oszklone werandy świeciły pustkami. Ustały hałaśliwe zabawy zbiorowe, gwar rozmów, biegania dzieci. Połowa podróźnych uległa chorobie, reszta chroniła się przed przenikliwym zimnem. Mało kto odważał się bodaj na chwilę wyjść na pokład. Mroźny wiatr ścinał pył wodny i kałuże, rozlewające się po pokładzie za każdym wytryskiem fal. Zaszroniały liny, łańcuchy. Sople lodu zwisły zewnątrz.

W ogromnych, niskich hałach trzeciej klasy choroba morska walała ludzi pokotem. Ustał gwar i rejwach tłumu. Zamiast hałaśliwych rozmów, śmiechów i przekleństw we wszystkich językach, ochryplego śpiewania i ustawicznych o byle co nieporozumień i kłótni, które nie przerywały się zazwyczaj, jak dzień długi, wybuchając to tu, to tam wśród tysiąca obcych sobie i znużonych podróży ludzi, teraz, gdy ponure, niskie galerie zaczęły się rytmicznie, powolnie i potężnie bujać a zapadać, zapanowało głucho, trwożne milczenie, przerywane tylko płaczem dzieci, jękami i stękaniem setek ludzi, których mordowała choroba. Wśród półmroku ponurego dnia, wpadającego tu skąpo przez szeregi okrągłych okienek, ustawicznie zalewanych przez zielonkawe fale, jarzyły się przykrem, czerwonym światłem lampki elektryczne i zdawały się przyśasać wśród gęstej mgły oparów i wyciewów ludzkich. Powietrze było duszne i cuchnące, pomimo wentylatorów, wciąż wpychających do wnętrza mroźny i jędrno-słony dech morza. Kliwie gorąco, bijąc od rozpalonych kaloryferów, mdlący zapach świeżej olejnej farby wzmagały chorobę.

Ludzie porozwalani na tapczanach, skuleni po katach, mieli sine twarze i chore oczy. Całe rodziny, stłoczone razem, trzymały się kępami, obłapiwszy się za szyje, uławszy się krzepko za ręce. Chłopy, baby, dzieci ieczeli wspólnie, obzieraając się wokoło zdzieczalemi oczyma, wyczerpani słabością, przerażeni miotaniem się statku. Za każdym mocniejszym pochyleniem, kiedy potężna jakaś moc przypierała ich do ściany, ściągając z wyrków lub usiwała z pod nóg podłogę, rozlegał się głośniejszy akord stękania i jęków. Domagano się natarczywie lekarza, tu i owdzie wołano o księdza, iakgdyby już zbliżała się ostatnia godzina.

Napróżno dyżurni dozorczy i inspektorzy, taczający się ustawicznie wzdłuż przejścia między zagrodami, kleli i nawoływali do porządku. Ich krzyki nie uspakaiały ani trwogi, ani cierpienia. Olbrzymia większość emigrantów, nie oswojona z morzem, za każdym pochyleniem statku oczekiwała katastrofy i tylko obezwładniająca choroba chroniła ten tłum od paniki i gromadnej ślepej kędys ucieczki. Wyglądało to wszystko bezradnie, mizernie, wstętnie, nad wyraz nudnie.

— Bydło.. — mruknął Niemy — przesuwając się przez hałę ku wyjściu i mijając zagrodę za zagrodą, gdzie, jak robactwo, wili się wszędzie ludzie przemordowani, ięczący i cuchnący.

Ciasno i obrzydliwie było mu między ludźmi.

Odetchnął z ulgą, wydostawszy się na pokład, przeznaczony dla emigrantów. Szaronał nim wichur, o wiał go mroźny, przenikliwie rzeźwy dech od morza. Rozwiała się wizja ludzkiej nędzy i niedoli, iakgdyby pod wichur porwał ją i poniosł w dal na odmęty fal, na wieczne zatracenie.

Groza i piękno rozszalonego oceanu pogrążyły go w zapaźczeniu, pełnym zachwytu.

Dziwne, tajemne myśli znajomym torem szły ku niemu od przestworu i burzy. Pośród zamętu unosiły się widziadła rzeczy i spraw niewypowiedzianych.

Jak zawsze, kiedy przez wszystko widzące oczy ogarniała dusza obrazy natury, nagie i rozpetanej wśród walki wodnych potężnych żywiołów, tak i teraz zanomnił o sobie i o ludziach i dał się porwać nieprzeparłej władzy natchnienia.

Poniosło go unojenie w bezgraniczną dal, gdzie wszystko było nieznane, gdzie momenty zachwytu i dreszczem zdejmującej grozy zlewały się w jeden nieprzerwany, przepiękny akord. Gdzieś poza światem grzmiała symfonia niezliczonych głosów czwiegoś obcego istnienia, pełnego dziwów, niepoietych w swoim ogromie i w swej mocy. Raz wraz zagarniały go i zalewały ze szczerem fale niewysłowionej har-

monii, lecacej przez wszechświat. Raz po raz wynurzał się z pod urków i na krótką chwilę powracał do siebie coraz to inny. Były to: szalona żądza rozumienia tych spraw, trwoga przed niewiadomym, zupełne odurzenie, lub przesłodką niemoc najwyższej rozkoszy.

Z rozkosza poddawał się pedowi wichru, z rozkosza bujał się wraz z okretem, zapamiętał się wśród chaosu nacierających na niego fal.

Nigdy wyraźniej, iak w owej chwili, nie oglądał widziadła swojej idei. Wynurzyła się ona niespodziewanie z chaosu przelatujących przez jego głowę obrazów. Wytrysła słum z głębi rozszalonego oceanu, oblała go morzem od stóp do głowy, otrzeźwiła w jednej chwili, zatrzymała w biegu rozpedzona myśl, zapanowała nad wszystkim.

Zrozumiał do głębi ową chwilę. Wydało mu się, że do tego, by tej chwili doczekać, przeznaczone było jego całe życie. Pełne dziwnych wydarzeń i ciężkich walk płynęło ono przez długie lata, iak pyłem rzucalo jego losami do szerokim świecie.

Jego niezliczone sny na jawie, bezładne, niespokojne i dręczące, przypomniały się teraz wszystkim, zwały się w gromadę, która ogarnęła i wypełniła jego duszę, iak czarna chmura.

Podobna czarna i ciężka chmura wisiała teraz nisko nad wodą i chybotące się wzdłuż fal zdawały się sięgać aż do niei. Co chwila znikła za opona deszczu, wśród tumanów pyłu wodnego i wynurzała się znowu, leżąc ciężko na wodzie i z wysiłkiem płynąc kędys w świat, iak złowrogie, bezkształtne widmo. Wiało od niei mrozem. W czarnem jej gąszczu kłębiły się zjawy, wyrwane ze snów gorączkowych, z natchnień ukochania i nienawiści i z trzeźwych, pracowitych dociekań.

Niemy zapatrzył się w swoją chmurę, roztopił się w niei cały. Chwila ta zamieniła się w nim w wieczność. Rozumiał już wszystko, aż do ostatniej reszty. Owiadzał nim przepiękny, iasny spokój postanowienia. Już mu nie maciła więcej w duszy przerażająca okropność zamierzonego czynu. Jego ponurość, tajemnica, śmierć, zniszczenie, wszystkie dreszczem przejmujące obawy i wstęty, ostatnie odruchy ludzkiej natury ukoili się, uciły. Zamilkło po stokroć rozważane, dręczące wieczne pytanie o jakiś sens, o jakiś cel. I ta arcydzieła troska o budowanie jakoweś dla świata pożytku... Załamała się wreszcie i runęła ostatnia zapora między nim a Odwieczną Pokusą.

Zamiast wszystkiego, co było w nim aż do tej chwili, zapanowała przerażająca, dreszczem zachwytu zdejmująca iasność. Nikt, olśniony jej błyskawicą nie oderwie się od tego, co w nim ona wykryje. Już nie powróci do dawniejszego siebie człowieka po takiej chwili.

Wiatr sięł deszczem, przerzucal przez pokład strzępy piany. Fala za falą wdzierały się, zalewały deski pomostu i spływały z powrotem, żeby natychmiast wystrzelić znowu w górę i zatopić brzdół okrętu.

„Atlantic“ w olbrzymich podrzutach, z szalonym rozmachem nurzał się dziobem w zwichrzonej toni i zdawał się nacierać na wroga, który ośmielił się stanąć mu na drodze, hamując jego potężny pęd, sprzeciwiając się jego woli. Kolosalna jego budowla chyliła się, przechylała, prostowała i zapadała się znowu wśród bryzgających pianą fal. Kołysał się ciężko, z boku na bok, zwijsając nad otchłania wielopiętrowy, biały gmach ze swoimi setkami okien, ze swoimi werandami, kruzgankami. Kominy wahały się uroczyście, kreśląc na niebie fantastyczne smugi i skrety dymu, który wywalał się nieustannie z ich czterech gardzieli.

Gesty i czarny zwiiał się w poczworną wstęgę, usiłował niestrudzenie wypisać coś na niebie i porywany wiatrem, opadał ciężko i spływał w dół, rozwłócząc się po falach nakształt chmury.

Niemv drwił sobie z potęgi okrętu, z jego odwagi i pewności siebie pośród rozszalałych odmetów. Jakże gardził człowiekiem! Tysiąc najrozmaitszych losów ludzkich, skupionych tu i ściśnietych w przestrzeni, wydawały mu się przeżabawna komedia, która ułożył ktoś dla niego jednego.

Ci z górnych pieter, z białego pałacu i tamci z pod spodu zrównali się po raz pierwszy i posłusznie, usłuszenie grali przed nim każdy swoją melodyę. Zaśmiewał się w duszy,

Jak można było ludzić się tak długo? Po co się było trapić i mozolić napróžno? Walczyć o jakiś sens świata, o jakąś sprawiedliwość?

Jakgdyby w nagłem objawieniu, spadła nań wiza ostatecznego zrozumienia ludzkości i wszechrzeczy ludzkiej. Okręt wśród wzburzonego oceanu oderwał się od reszty świata, stał się wszystkim. Nic nie istniało poza nim.

Nie było już o tej porze ładu, ani ludzi, których pożegnali przedwczoraj i nie czekało ich nic tam, po drugiej stronie oceanu, dokąd w prostocie ducha zamierzali sobie spokojnie dopłynąć. Niekończona pustynia otaczała statek i czekała obojętnie na koniec swej podróży.

Przestrzeń bez kresu, wicher, otchłania niewymierzonej głębi oceanu wraz z nim, — który jedynie wiedział — drwiły z widocznej nędzy człowieka w gromadzie. Niemy poczuł się wszechwładnym panem świata — bo cöz zostało ze świata? Nic, jeno okręt na wzburzonym morzu bez końca i bez brzegów. A życie okrętu wszak było w jego ręku! Uderzyło weń olbrzymie, dech zapierające uniesienie.

Zapamiętał się, iak w obłędzie, zapomniał o sobie, o swoim życiu, o swojej śmierci, już nie podlegał żadnym prawom, niczym siłom. Je-

go istnienie stało się nieprawdopodobnym, przeciwestawiającym się wszystkiemu cudem.

Śmierć? Więc cöz, że śmierć? Nie poradzi i ona jego woli. Wiedział, że umrze, ale wiedział, że nie zginie. Dokona swego czynu w imieniu onego tajemniczego, przyszłego istnienia. Wszystko „tam“ jest niewiadome — jedno tylko pewne i oczywiste: głos „stamtąd“ woła i nakazuje: „zabij ohydę“!

Ocean, burza, głębia, ryk wicheru — wszystko, co wielkie i potężne — brzydziło się tym okrętem i natłoczonym w nim robactwem ludzkim. Równi byli przed gniewem żywiołów i jednakowo ohydni panowie i słudzy, królowie i poddani. Jednakowo winni byli, że istnieją. Jakże późno poznał tę prawdę?

I na krótką chwilę przypomniał sobie jeszcze to, co bywało dawniej: swoje rozpaczliwe, śmieszne wysiłki ku wydarciu owej prawdy. Wszystkich wokoło pytał o swój czyn, przed każdym duszę otwierał, byle kogo się słuchał. Ileż głupich książek przeczytał w trudzie, ile razy wiare swoją gubił, zmieniał, odnajdywał i w rozpaczy ciskał precz!

Bywały najwyższa prawda: braterska pomoc bliźniemu, rozdarcie serca nad ludzką niedolą. Bywały prawda wiece i wybory i zdzieranie gardła, wykrzykującego wkółko jedno i to samo. Bywała prawd gra wtajemniczonych, radzących w tajemnicy ponuro i krwawo.

DCN



MAŁGORZATA STRAKÓWNA.

Dlaczego?

Autorka wiersza niniejszego jest wieśniaczką z pochodzenia i uosobieniem. Przeszedłszy w szeregi inteligencji, sposobiąc się do slawni nauczycielskiego, tęskni na polem i chatę, a tęsknocie tej daje wyraz w słowach iak prostych, że aż naiwnych trochę. A jednak ta właśnie cecha ma swą oryginalność i pewien wdzięk specjalny. Jesteśmy przekonani, że dla bardzo przeważającej części czytelników naszych myśli te będą zrozumiałe i sympatyczne.

*Porzuciłam mą chatę, gdzie się w barw topieli
Przegląda jasne słońce, jak wierzba w strumieniu;
Przeczę swojemu sercu, swojemu sumieniu,
Ciężki trud ani karmi, ani mię weseli;
Lecz bardziej mię obchodzi od własnej mej doli,
Dlaczego chwasty tylko rosna dziś na naszej roli?*

*W mieście gwarnem się ucę wiadomości złęgo,
(Dobra tu niema; jeśli jest, to zablakane) —
W mieście gwarnem pogłębiam moją dawną ranę,
Bo, że cierpię, wiedziałam — dzisiaj wiem, dlaczego.
Może i na wiadomość inną przyjdzie kolej:
Dlaczego chwasty tylko rosna dziś na naszej roli?*

*A gdy się dowiem, — porzucona chato,
Powrócę znów do ciebie, marnotrawna córko,
Powrócę znów do ciebie, jak dżdżem ciężka chmura,*

*Z duszą, w przyszłe twe plony, niby śpichrz, bogata,
By uczyć brata, który próżno się mozoli,
Dlaczego chwasty tylko rosna dziś na naszej roli?*

*O, ziemio!... Biedne, słabe garście me dziewczęce,
Jak pług, zanurzę w czarnem, płodnem twojem tonie,
Zorzę rękami ugór, bo miłość, co płonie
W mem sercu, żadnej ludzkiej niepodobna męce,
Nad wszelką stokroć cięższą jest — i bardziej boli.
Dlaczego chwasty tylko rosna dziś na naszej roli?*

*O, ziemio!... Ty odwrócisz mi się pod rękami,
Wszakżem ja prawe dziecę twe — ty moja macierz.
Gdy niwy twoje, lasy twoje szepcą nocny pacierz,
Ja nieużytki twoje, ziemio, zroszę łzami...
Bóg tym rosom zaprzepać próżno nie pozwoli...
Dlaczego chwasty tylko rosna dziś na naszej roli?*

Na szanću.

Opowiadanie podchorążego.

Zależało nam na każdej minucie!

O godzinie dziesiątej wieczorem wywiadowcy donieśli do naszego sztabu, że wzgórze na wybrzeżu rzeki N. jest niezajęte przez nieprzyjaciela, a w kwadrans później wysłano nasz batalion z rozkazem: zająć i nie ustępować za żadną cenę.

Jednocześnie sztab* otrzymał wiadomość, że Niemcy, również w celu zajęcia owego wzgórza, pozycyli panującej nad całą okolicą, wysłali znaczny oddział piechoty.

Zależało więc nam na każdej minucie, bo mieliśmy przed sobą dwie możliwości: przybyć pierwszymi i w najgorszym razie, bronić doskonale usytuowanej pozycji, lub przybyć po Niemcach i zdobywać tę pozycję ostrzem bagnetu, co przedstawiało poważną trudność i bezwzględnie groziło nam wielkimi stratami.

Wiedzieliśmy o tem wszyscy, nawet żołnierze, więc mocno przyspieszonym krokiem dążyliśmy, bez wytchnienia, biegnąc nawet czasem, gdy teren na to pozwalał.

Noc była pogodna i ciepła, ale bezkسیężycowa, ciemna, „choć oko wykluć”.

Prawie nie widząc się wzajemnie i dyszając ciężko ze zmęczenia, pospieszaliśmy w zwartych szeregach, by nie pogubić się, nie rozproszyć, co łatwo stać się mogło, jako że prawie ciągle przodownicy wiedli nas bądź przez las, bądź przez gęszcze krzewów różnych i chłószcące po twarzach kołąciami gałęziami, młodzieńki zagajniki sowne.

Punktualnie o godzinie drugiej po północy rzucono nam od czołowych szeregów rozkaz zatrzymania się, a mnie, wraz z innymi oficerami, wezwano do dowódcy, od którego dowiedzieliśmy się, że nareszcie jesteśmy już prawie na miejscu, tuż u podnóża owej wyniosłości, będącej celem naszej wyprawy, i, że wysłani zostali wywiadowcy, by się przekonać, czy aby, Boże broń, Niemcy nas nie uprzedzili.

Oczekiwaliśmy powrotu wysłanych w nadzwyczajnym podnieceniu, szykując swe plany do natychmiastowego ataku, gdyby nieprzyjaciel był już na wzgórzu.

Tymczasem pierwsze brzaski przedświt zaczęły już rozpraszać mroki nocne.

Najcudniejszą barwą kobalitu przeźierało przez gałęzie drzew bezgwiezdne już niebo, a silny dociąć wiatr, zwiłkły o tej porze nocy

letniej, szumiał po wierzchołkach sosen monotonna pieśń lasu.

Wszyscy chyba, bez wyjątku, czuliśmy, że nadchodzi niezwykle ważna dla nas chwila, dla wielu, jak zawsze przed bitwą, może ostatnia chwila życia; to też kamienny jakiś spokój i dziwna martwość były wyrazem twarzy otaczających mnie żołnierzy.

Sam zresztą czułem w sobie taki sam spokój kamienny i zupełny zanik wszelkiej myśli. Chwilami tylko dreszcz krótki, ale bardzo silny, wstrząsał mną do głębi.

Nie wiem, iak długo to trwało, aż rozdarł tę ciszę półgłosem rzucony nam rozkaz dowódcy:

— Góra wolna! Naprzód!

Zatętniała ziemia pod krokami naszych prześcigów.

Z uczuciem radosnej, dziecinnej prawie pustoty pędziliśmy wwał bezładnie, ścigając się wzajemnie, wybuchając śmiechem, gdy który, zawadziwszy nogą o jakąś przeszkodę, zwał się, iak długi, na ziemię.

— Naprzód! Naprzód! — nawoływali oficerowie, wołali żołnierze, popędzając się wzajemnie, aby jaknajprędzej dostać się na ów szczyt wzgórza upragniony, gdzie czekał nas wypoczynek bezpieczny.

Po dwudziestu może minutach takiego pędzenia ciągle pod górę znowu zabrzmiała komenda:

— Stój!

Nareszcie byliśmy u celu.

Tajemnicze a pełne uroków światło przedświt u zupełnie już rozproszyło mroki nocne i mogliśmy doskonale rozpatrzyć się w sytuacji.

Istotnie, wzgórze zajęte przez nas było świetną pozycją strategiczną.

Półowa wzgórza, podmyta przez płynącą u stóp jego dosyć spora rzeka, tworzyła urwisko strome, niemożliwe do zaatakowania, a będące doskonałym punktem do ułokowania choćby trzech baterii, mogących stać panować nad ogromną, ciągnącą się w dal płaszczyną łąk i pól, obecnie jeszcze srebrzystymi puchami mgieł porannych przesłoniętych.

Druga połowa góry, ta, po której wdarliśmy się na wierzchołek, choć spadek miała dość łagodny, również dawała możliwość operowania ogniem działowym na obszar wielkiej kniei leśnej, ciągnącej się hen, hen, aż po linię horyzontu.

Kniewa ta dla nas jednak nie była zgola pożądana, bo w razie ataku nieców mogła być dla nich doskonałą osłoną przed naszą strzałami, gdy tymczasem my dla nich być mogliśmy celem zupełnie owartym

Dowódca batalionu dał nam dziesięć minut na wytchnienie, podczas którego oficerowie i żołnierze, otoczeni kłębami dymu łakomie palonych po raz pierwszy od wczorajszego wieczoru papierosów, poroz-

ciągali się z uczuciem rozkosznego spokoju na rośnej murawie.

Po wypoczynku dowódca za dysponował plan okopania się na całej połowie łagodnego spadku góry, do czego zabraliśmy się wszyscy z nadzwyczajną energią, nawet my, oficerowie, aby dać przykład żołnierzom i, szczerze mówiąc, aby się rozgrzać, bo chłód porankowy coraz dotkliwiej zaczął przejmować po nocy bezsennej i pełnej trudów forsownego marszu.

Grunt był dość oporny — gli niasty, więc choć pracowaliśmy prawie godzinę w pocie czoła, zaledwie zdążyliśmy wznieść okop najprymitywniejszy, nas jedynie w razie napadu o tyle, o ile przed strzałami nieprzyjaciela osłaniający.

Punktualnie o godzinie trzeciej w lesie rozległ się strzał wartownika, przez echo kilkakrotnie powtórzony, a wnet po nim jedna i druga salwa karabinowa.

Niemcy nadeszli!

Zanim zabrzmiała komenda, cały batalion nasz, leżąc za okopem, już był w pogotowiu do strzału.

Z lasu wysunęły się trzy postacie żołnierzy wartowników. Dwóch z nich, śnąc przezorniejszych, chyłkiem, bądź na czworakach, bądź pełzając, wdzierało się na górę, korzystając z każdego krzaczka, z każdej nierówności gruntu, by się ukryć przed okiem nieprzyjaciela; natomiast trzeci, panika widocznie przejęty, pędził naoslep, od czasu do czasu jeno ogłędając się poza siebie.

Żołnierze nasi, patrząc na ucieczkę nieboraka przed grozą niebezpieczeństwa, zaśmiewali się do rozpuku z powodu jego istotnie pociesnych, niezgrabnych skoków i rozpaczliwego wymachiwania rękami.

Nieprzyjaciel nie dawał więcej znaku życia, więc istotnie ta szalona ucieczka pędzącego ku nam żołnierza wydawała się pozornie niepotrzebna, lecz gdy nieborak ów znalazł się już prawie przy nas, może o iakieś dwadzieścia kroków, gdy doskonale już widzieliśmy jego twarz wykrzywioną skurczem straszliwego przerażenia i jego wzrok, w którym odzwierciedlała się bezgraniczna rozpacz, gdy już po całym wzgórzu rozlegał się jego chrapliwy krzyk: „ratujcie! ratujcie!”, nagle zatrzymał się on na miejscu, drgnął, wypuścił karabin i wyniosłszy ręce do góry, iakby się za coś chciał pochwycić, runął na twarz na ziemię, a jednocześnie usłyszeliśmy suchy trzask strzału i kilkakrotne jego echo przez las powtórzone.

— Ognia! — zabrzmiała kobrzmiwała komenda i plunęliśmy gradem kul w gestwinę leśną, śląc ponad drgającym w agonii ciałem towarzysza odpowiedź na pomstę za młode jego życie.

DN.



Gdyśmy weszły, przełożona znajdowała się na posiedzeniu Misyjonar-skiej Ligii Nawracania Żydów; wprowadzono więc nas do maleńkiej poczekalni, oddzielonej szklanemi drzwiami od obszernej sali, gdzie przez szyby widać było gromadę młodych kobiet, z wyglądu szwaczek, pokojówek i gwernantek, zajętych szyciem dziecięcej odzieży.

Woń karbolu przesycała powietrze.

Czekałyśmy dość długo, wreszcie przełożona nadeszła.

Była to bardzo wysoka, płaska kobieta, w szarej sukni, i od pierwszego rzutu oka zorientowała się w położeniu. Nie czekając na objaśnienie Mildred, zwróciła się do mnie, pytając o wiek, nazwisko i pochodzenie.

Mildred pospieszyła wybaczyć mi z kłopotliwego położenia, powtarzając zwykłą prośbę.

Przełożona aż się zachnęła.

— Ależ, za nic na świecie! — zawołała. — Nasz komitet nigdy by się na to nie zgodził. Dla dobra tych nieszczęsnych dziewcząt, które zeszyły z drogi cnoty i ich jeszcze nieszczęśliwszych potomków przeprowadzamy zawsze jaknajściślejsze dochodzenia. Zapisujemy skrupulatnie każdy szczegół. Proszę posłuchać.

Otworzywszy wielką, w skórze oprawną książkę, zaczęła czytać:

„H. M., lat osiemnaście, pochodząca z bardzo uczciwej rodziny, idąc pewnego wieczoru pustym gościńcem, napadnięta została przez nieznanego marynarza, o którym nigdy potem nie było żadnych wieści...”

Nie mogłam słuchać dłużej. Zerwałam się znów z krzesła i uciekłam.

Bunt we mnie wzrósł. Mówiłam sobie, że podczas, gdy Bóg w miłosierdziu swoim zsyłał mi dziecko, by mnie pocieszyć, podnieść, oczyścić i uszlachetnić, człowiek ze swą obłudną i okrutną moralnością, ze swą bezduszną filantropią chciał z tej dzieciny uczynić narzędzie kary nie tylko dla mnie, ale i dla Jurka. Ale ja do tego nie dopuszczę! Nigdy, póki życia! Raczej umrę z głodu i nędzy na ulicy.

Myśląc tak, przyspieszałam kroku i Mildred musiała prawie biec, by mnie dopędzić. Słyszymy czas jakiś w milczeniu; wreszcie ona przemówiła pierwsza:

— Zapewne wszędzie powtórzy się to samo. Oni zawsze żądają referencji.

— Nie dostana ich odemnie, to pewne!

— Ależ, dziecko drogie. Wkrótce wydasz, co masz, a co się wtedy z tobą stanie?

— Mniejsza z tem, — odparłam — bo już postanowiłam w duszy, że tak czy owak, sama sobie dam radę.

Umilkłyśmy znowu; wreszcie już dochodząc do drzwi pensjonatu, Mildred rzekła:

— Mary, twój ojciec jest bogaty i choć wielkie zgotowałaś mu zmartwienie, nie ścierpi przecież, byś się znalazła na łasce i nielasce świata, zwłaszcza w krytycznej chwili... Ja napiszę do niego.

Przeraziłam się. I cóż z tego wyniknie, jeżeli nie otwarty zatarg pomiędzy moim mężem a ojcem o uprawnienie dziecka, które mi zapewne natychmiast po jego przyjsciu na świat odbiorą.

To też, nie zważając, że jesteśmy na ulicy i że ludzie na nas patrzą, chwyciłam Mildred za rękę, błagając ją i zaklinając, by nie pisała do mego ojca.

Przyrzekła mi i rozstałyśmy się serdecznie; ale ja byłam, jak struta, bo nurtowała mnie wciąż myśl, że cały świat sprzyjał mi, by mnie pozbawił mego, jeszcze nie narodzonego dziecka.

W parę dni potem Mildred przysłała znowu i rzekła na wstępie:

— Miałam dziś list od Ojca Donovanana. Twój biedny proboszcz nie może sobie dać rady, tak go gryzie twoje zniknięcie. Wie, że jesteś w Londynie, opuszczona i nieszczęśliwa, i pisze, że za zgodą czy bez zgody biskupa, przyjedzie tu i będzie cię szukał, dopóki nie znajdzie.

Zacząłam podejrzewać Mildred. Wniósł mi do głowy, że powodowana najlepszymi chęciami, przez miłość dla mnie i litość nad moim położeniem, wydała mi wreszcie, a wtedy — odbiorą mi dziecko.

By do tego nie dopuścić, postanowiłam wyprowadzić się z pensjonatu, poszukać sobie gdzieś dalej tańszego mieszkania i zniknąć zupełnie.

W postanowieniu tem utrwaliła mnie myśl o zmniejszających się przerażająco pieniężnych zasobach, i choć Bóg widział, że w moim pensjonacie nie opływałam w zbytki, czyniłam sobie srogi wyrzut, że wydaję tyle na siebie, zamiast oszczędzać dla dziecka.

Pewnego więc dnia wczesnym rankiem poszłam na Oxford Street, skąd moto-omnibusy rozchodzą się na wszystkie strony Londynu.

Stałam tak na trotuarze, gdy jeden z nich z napisem: „Bayswater Road“ zatrzymał się tuż przedemną. Ja zaś, nie namyślając się, wsiadłam, sama nie wiedząc, czemu właśnie do tego, a nie do innego.

Szukałam do wieczora. Znalazszy wreszcie, czego mi było potrzeba, wróciłam do pensjonatu, spakowałam rzeczy, co mi niewiele czasu zajęło, zapłaciłam rachunek i posłałam Johna po dorożkę, zmierzałam

już ku drzwiom, gdy zatrzymała mnie właścicielka.

— Może pani zostawi swój adres na wypadek, gdyby się kto zgłosił — rzekła.

— Nikt się nie zgłosi — odpowiedziałam.

— A jeśli iaki list przyjdzie?

— Żaden list nie przyjdzie.

Wsiadłam prędko do dorożki, szepnawszy woźnicy, by jechał na Oxford Street.

Było już zupełnie ciemno. Na ulicach i w sklepach płonęły światła. Przejeżdżając przez Chareng Cross Road, spojrzałam w stronę wysokiej kamienicy, w której u szczytu okno Mildred jaśniało niby latarnia morska ponad Piccadilly.

Droga Mildred! Miałam prawo sądzić mnie o niewdzięczność. Już ona przebaczyła mi dawno. Wie teraz, że jeśli uciekłam od jedynej przyjaznej duszy w Londynie, to dlatego tylko, że nie mogło być inaczej. Wie również, że jeśli zanurzałam się jeszcze głębiej w otchłań olbrzymiego miasta, jeżeli zagrzebywałam się w niego niejako żywcem, to nie czyniłam tego dla siebie i że nie pragnęłam niczego, tylko by, bodaj w biedzie i opuszczeniu, żyć do końca z dzieckiem, które zsyłał mi, jako widome ogniwo pomiędzy mną a utratą kochaniem.

Och! ale jakże dziwnem, tajemniczem i wprost Opatrznościowem wydaje mi się to wszystko teraz w oświetleniu późniejszych wydarzeń!...

Rozdział LXXVII.

Nowa moja siedziba mieściła się w ubogiej dzielnicy Bayswater. Znalazłam ją, wyczytawszy na zawieszzonej nad frontowemi drzwiami niewielkiego domku karcie drukowany napis: „Pokój z meblami do wynajęcia“.

Pokój ten znajdował się na pierwszym piętrze; był dość obszerny, z dwoma oknami na ulicę, zaopatrzonemi w płócienne żółte rolety białe muślinowe firanki.

Umeblowanie składało się z szerokiego łóżka, włosianej sofki, trzech trzcinowych krzeseł, szafy pomiędzy oknami i lustra nad kominkiem.

Podłogę kryło linoleum, a na nim leżały dwa dywaniki: jeden przed łóżkiem, drugi przed paleniskiem; ściany obciągała tania, jasna tapeta w pasowe maki.

Umówiłam się z właścicielką, że będę płaciła pięć szylingów tygodniowo, włączając w to używalność imbryka i naczyń stołowych, dzięki czemu sama kupując sobie pożywienie (złożone z herbaty, chleba, masła i jaj), mogłam wydawać tygodniowo nie więcej, jak dziesięć szylingów. W ten sposób ta trocha gotówki, jaką miałam, mogła mi starczyć do czasu rozwiązania i jeszcze na kilka tygodni dłużej.

Co rano chodziłam z koszykiem po zakupy, a po południu odbywałam długie przechadzki do po-

blizkiego Hyde Parku, nie zapuszczalam się jednak nigdy w stronę Penoddy, z obawy, by nie spotkać siostry Mildred lub kogo z moich dawnych współpensjonarzy.

Przedstawiłam się mojej nowej gospodyni pod dawnym nazwiskiem, jak w pensjonacie, dodając, że jestem wdową po komendancie statku, który niedawno zatonął, co było możliwie najbliższemu prawdę.

Nie ukrywałam także mego stanu, co zjednało mi sympatię i współczucie mgich nowych sąsiadek. Były to poczciwe kobiety, przeważnie żony robotników, pracujących w pobliskich fabrykach.

Przekonawszy się, że prowadzę „porządne” życie, był dla mnie bardzo dobre i żyływały mnie „naszą paniusia”. chociaż dziwiło ich to i gorczyło potrosze, że, będąc, jak to oświadczyłam, katoliczką, nie chodzę do kościoła.

Znaczną część dnia przesiadywałam samotnie w moim pokoju, szyjąc wyprawkę dla dziecka, podług wzorów, jakich używała mój moja gospodyni, i nie wiem sama, czy mam śmiać się czy płakać, gdy myślę o tych wszystkich niedorzecznościach (zapewne wszystkim młodym matkom właściwych), jakimi urozmaicałam sobie moją pracę.

Niedługo przed urodzeniem dziewcziny wybrałam dla niej imię. Naprzód chciałam ją nazwać Maryą, bo Jurek mówił, że to jest najpiękniejsza imię na świecie; potem jednak zdecydowałam się na Izabelę, przez pamięć mojej ukochanej, świętej matki, i gdy, skończywszy jakie ubranie, kładłam je do szuflady, mawiałam zawsze: „To czepeczek Izabelci”, albo: „To chrestna sukienka Izabelci” i tym podobnie.

Wszystko to było bardzo niemądre, ale opromieniało mi życie, i chociaż zdarzały mi się chwile, kiedy, myśląc o Jurku, popadałam w beznadziejny smutek, naogół czułam się prawie szczęśliwą wśród mego ubóstwa, jakgdyby ono było klatką, w której wciąż śpiewał ptaszek—ptaszek w moim łonie ukryty.

— Gdy Izabelka przyjdzie na świat — wszystko będzie dobrze — mawiałam sobie.

Trwało to przez szereg tygodni i byłoby może trwało aż do chwili rozwiązania, gdyby nie pewna okoliczność, która napelniła mnie obawą, że nie powinnam ani się cieszyć, ani pragnąć tak bardzo przyjścia na świat dziecka.

Moja gospodyni, pani Williams, była zapewne poczciwą ale zaharowaną kobietą, obarczona pół tuzinem dzieci i mającą jeszcze „na kabu” dwóch lokatorów, zajmujących mały przy kuchni pokój.

Widywałam ją bardzo rzadko, zaś męża jej (który trudnił się rozwożeniem mleka), nie widywałam wcale; co wieczór tylko słyszałam jego ciężkie kroki, gdy o dziesiątej szedł spać na górę.

Jedynym łącznikiem pomiędzy mną a tą rodziną była czternastoletnia siostrzenica pani Williams, Emilka, którą widywałam zawsze niancząca dzieci, biegająca za sprawunkami i wogóle pełniącą wdzięczne obowiązki domowego popychadła.

Z czasem zaczęła je pełnić i względem mnie, sprząając mi pokój, przynosząc węgle i pałac na kominku, za sześć pensów tygodniowo, oraz udzielając mi różnych wiadomości o sąsiadach za darmo.

Tą drogą dowiedziałam się, że naprzeciwko mieszkała małżonkowie Wagstaffe, że pani Wagstaffe utrzymuje magle, bo mąż jej przepija wszystko, co zarobi, i w dodatku co sobota, gdy szynki zamkna, wraca „urżnięty, jak nieboskie stworzenie” i bije żonę, a ona mu to zawsze nazajutrz przebacza.

W drugim domu znowu mieszkała rodzina Jonesów. Pani Jones „prała” i miała sparaliżowaną matkę i osiemnastoletnią córkę, imieniem Maggie.

Maggie Jones była bardzo ładna i służyła w mleczarni, ale jeden z subjektów „przysłużył jej się” i miała z nim dziecko.

Ten subjekt, nazwiskiem Owen Owens, mieszkał na tej samej ulicy, trochę dalej, z dwiema siostrami, które mu „prowadziły dom”.

Maggie posadzała siostry, że to z ich winy Owen Owens nie żeni się z nią i postanowiła „uczęstować je”.

W tym celu, gdy dziecko miało już miesiąc, ubrała je pięknie, zaniosła do fotografa i kazała „zrobić z niego wizytówki”.

Potem jedną z nich włożyła w kopertę, zaadresowała do Owena Owensa i posłała mu pocztą.

Była pewna, że Owen Owens ucieszy się ogromnie, że sobie każe tę fotografię oprawić w ramki i postawi u siebie na stoliku, a jeśli by która z siostr ją tknęła, „miałaby się spyszna”.

Adolf Nowaczyński.

Było to nad Bałtykiem. (Bergsohn & Bergson).

8

Krotochwila w 3-ch odsłonach.

LOLO KARPIŃSKI (*brwi zmarszczył, ostro*). A dobrze, że radcę spotykam... Panie szanowny, gdzie moja żona? (*chwytą go za rękaw*). Co?...

RAKUZKI (*zirytyowany, zatrzymał się*). Co, pańska żona? A skąd ja mam o tem wiedzieć?... Czy ja jestem aniołem stróżem pańskiej żony?...

KARPIŃSKI (*ostupiały*). Jakto?... Co znaczy aniołem?... No, pan chyba musisz wiedzieć!...

RAKUZKI (*szorstko*). Jakto musisz? Co znowu musisz? Dziwna do-

Spodziewała się też Maggie jakieś listownej podziękii i codziennie pytała listonosza: „Niemą tam czego dla mnie?”

Aż wreszcie list przyszedł; Maggie pobiegła z nim do swojej izdebki, a pod ten czas właśnie Emilka zaszła do pani Jones. Wtem słyszę przeraźliwy krzyk; biegnę na górę i widzę biedną Maggie leżącą na podłodze bez zmysłów, trzymającą w zaciśniętej dłoni fotografię dziecka, którą jej Owen Owens nadesłał, nagryzmoliwszy wpoprzek: „*Bekart Maggie Jones*”.

Nie umiem opisać, jak mnie to opowiadanie Emilki wstrząsnęło. Miałam wrażenie, że ziemia rozstepuje się podemna.

Jakżeż to? Wyglądając z takim utęsknieniem mojej dziewcziny, myślałam tylko o sobie; pragnęłam jej dla własnej pociechy i otuchy.

Ale czy zastanowiłam się, co czeka tę niewinną istotę? Toż, jeśli by mnie wysłedzono — a to się mogło stać każdej chwili, — dość było jakiegoś przypadkowego spotkania na ulicy. Czem dola mego dziecka różniłaby się od doli dziecka tej biednej dziewczyny?

Gdzież było miejsce w społeczeństwie dla takiego wyrzutka, urodzonego poza prawem, sieroty niewiedomego ojca, napiętnowanej hańbą matki?

I gdy myślałam o tem, czułam, że nie mam prawa życzyć sobie tej żywej spóini pomiędzy mną a Jurkiem, i że w mojem beznadziejnem położeniu mogłam jedynie, jako prawdziwie kochająca matka, pragnąć, by dziecko moje przyszło na świat martwe.

Ale to było nad moje siły. To było zbyt straszne. Nie mogłam i nie chciałam zdobyć się na taki heroizm.

— Nigdy, nigdy, nigdy! — mówiłam sobie.

DCN.

prawdy pretensya... (*odsuwa się*). Żegnaj pana...

KARPIŃSKI. Co żegnam? Dlaczego żegnam? (*niespokojnie*). Panie Rakuzki... Co to znowu? Ja się pytam, gdzie moja żona?... (*drugą ręką chwycił go za surdut*).

RAKUZKI (*zdenewrowany*). Ale puśćżeż mnie pan, do kroćset!... Widzisz pan przecież, że się spieszę... Jego Książęca Mość na mnie czeka... a pan mnie tu ni stąd ni zowąd zatrzymujesz sobie.

KARPIŃSKI. O, przepraszam pana

bardzo. Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że nie zupełnie ni stać, ni zowad... (*surowo*). Gdzie jest pańska Książęca Mość?

RAKUZZKI. Gdzie jest?... Jakto, gdzie... jest?... Gdzież może być przyszedł monarcha Gelsenkirchen?... Albo w kinie, albo na tennisie. Teraz jest na tennisie. Najmilościwiej grają... (*wesoło*). Tak... grają... I wszystko idzie, jak z płatką!

KARPIŃSKI (*zirytowany*). Co idzie jak z płatką? Co pan znowu? Jeszcze wciąż z tem wszystkim!

RAKUZZKI (*rozpogadzając się*). Ale bo pan nie masz wyobrażenia, w jaki on tu wpadł zapa! radości! Co to za temperament młodzieńczy! Co za ogień! I leci ryba na wędkę, leci! Wielka ryba, panie!...

KARPIŃSKI (*surowo*). Panie Rakuzki... Pan mi już raz solennie obiecałeś, że przestaniesz o tych wszystkich kalkulacjach... że nie będziesz nas w to mieszać... Ja pod tym tylko warunkiem! (*z pasją*). Co sobie ludzie pomyślą o tem wszystkim?

RAKUZZKI. Co ja panu obiecałem? I co to pana wogóle obchodzi? POCO pan się jeszcze i w to wtrącasz, ciekawym. Przecież pańskiej skóry to już teraz nie dotyczy...

KARPIŃSKI. Jakto mojej skóry nie dotyczy? A czyjeż że?... (*drwiąco*). Jeżeli istotnie wszystko idzie tak, jak z płatką...

RAKUZZKI (*uradowany*). Ale to mało powiedzieć: jak z płatką!... Szkoda, żeś pan nie był doprawdy, i tego na własne oczy nie widział!... Jak on się dyskretnie do tego zabiera! Jak ona go łatwo opętała... Tak... tak... Idzie na nasze podwórko! idzie koza do wozu!...

KARPIŃSKI (*twardo*). Tak... Idzie! gdybym ja temu teraz w samą porę kresu nie położył!... (*zamachnął energicznie rakietą*). Ale ja umiem być energicznym.

RAKUZZKI (*wzruszając ramionami*). Ale w czym energicznym? w czym kresu?... O czym pan mówi? Doprawdy, nie rozumię, o co panu chodzi. Co pan masz teraz do tego wszystkiego?... I dlaczego tu wsadzasz swoje trzy grosze? (*szybko*). A zresztą, do widzenia panu. Ja muszę iść (*parasolem wprzód wskazał*). Tam się gra panie historyczna partya!... (*maniacko*). Tam się wzmacnia Trójęprzymierze, panie, Drajbund.

KARPIŃSKI (*odetchnawszy, spokojnie*). A więc tam?... Więc grają? No, to ja idę z panem...

RAKUZZKI (*z zapalem dalej ciągnąc*). Tak panie! Grają! Drajbund tam się wzmacnia... Kobieta staje się znów faktorem, panie, politycznym! instrumentem dziejów... (*kleknął Karpińskiego po plecach*). Kotwica, że tak powiem, narodu... o... ni mniej, ni więcej... o...

KARPIŃSKI (*energicznie, palnąwszy Rakuzkiego po łopacie*). Nie panie! Z Lali nigdy nie dam zrobić żadnej kotwicy! żadnego instrumentu! Niedoczekanie pańskie!

RAKUZZKI (*zdumiony*). Z lali? Z jakiej lali? Kto tu mówi o jakiej lali, panie Lolu!...

KARPIŃSKI. No, pan dobrze wiesz, o jakiej Lali ja mówię. Nie pozuj pan

nażbyt dowcipnego... proszę bardzo! Dziś się ta cała komedia skończy musi... My z Lalą nie jesteśmy stworzeni do odgrywania żadnej historycznej roli!... Ja Lalę dziś wycofuję z obiegu... Pakujemy manatki i wyjeżdżamy... Szukaj pan sobie innej kotwicy dla swego pryncy...

RAKUZZKI (*dopiero teraz zrozumiał: klasnął w ręce, zaśmiewa się*). Aha!... Teraz dopiero widzę... To pan dlatego taki zirytowany? A ja słucham, dziwię się... Lali! Lali! Co za Lali? Ależ, panie drogi, to nieporozumienie!... Jego Książęca Mość Otto 29 gra najmilościwiej z panią Linowską!

KARPIŃSKI (*zdumiony, cofnął się o krok*). Co? co? Z panią Linowską?... 29-ty? Otto?...

RAKUZZKI. Tak, panie drogi... 29-ty. Od kwadransa... Z championem tenisa, panie! Tak... To pan nic o wszystkim nie wiesz. Aaa... pan się kapałeś przez ten czas!... prawda?... tak, tak. A tu zaszła zmiana, panie! Niezbadane są drogi Opatrzności... Tak, tak (*ze skrzywieniem*). Ani pan, ani pani Lala nie jesteście istotnie stworzeni do odegrania historycznej roli... Skądże znowu!...

KARPIŃSKI (*zdenerwowany, niezdecydowany*). No... tak... tak... zapewne (*ironicznie*). Ale i pani Linowska chyba tem mniej... hehe!...

RAKUZZKI. Ech, no, panie Lolu!... jest jednak różnica... Pani Lala nie ma właściwie o tennisie żadnego wyobrażenia... Nie mamy co ukrywać tego przed sobą... Bądźmy szczerzy!... Pani Linowskiej nie mogłaby jak się to mówi, nawet rzemyka u trzewika... Bądźmy szczerzy... (*wzrusza ramionami, drwiąco*). Skądże.

KARPIŃSKI (*ironicznie*). Musi jednak mieć jakieś wyobrażenie, kiedy 29-ty grał z nią pięć partyi...

RAKUZZKI (*poprawiając*). Cztery, panie, cztery partye! Ja dobrze pamiętam... Piątą zaczął ledwie... ale wraz musiał przerwać, bo dostał wtedy najmilościwiej niedyspozycy żołądka... Pamięta pan chyba...

KARPIŃSKI. Pamiętam, pamiętam... Ale to się zawsze liczy. Więc pięć partyi...

RAKUZZKI (*szywno*). Nie, panie! Tego się już nie liczy... To próżno i darmo... Nie przesadzajmy... Zresztą, żona pańska gra, prawdę mówiąc; niżej krytyki... W każdym jednak razie w tem się może jeszcze wyrobić, popracować... to można nabyć przez trening... (*westchnawszy*). Czego, wie pan, nie można nabyć przez trening... o... to... dobrego gustu w wyborze!... no mniejsza z tem! (*podając mu rękę*). Ja teraz pożegnam pana... Spiesz się!... o...

KARPIŃSKI (*zatrzymując go za rękaw, sucho*). O, pardon... Jeszcze chwilę... Co znaczy: dobrego gustu? Coś pan radca pod tem rozumiał? w wyborze? (*surowo*). W wyborze czego?...

RAKUZZKI (*kpiąco, obejrzawszy się na Ziutka*). Co czego? Ach! pan zapewne myślał... podejrzał... w wyborze wielbieli? Czy tak?... Otóż nie... Niestety! nie w wyborze wielbieli!...

KARPIŃSKI (*ostro*). Więc? W wyborze czego?...

RAKUZZKI (*westchnawszy, poważnie*). Jeżeli pan już tak natarczywie chcesz wiedzieć... odpowiem... Byłes mnie pan już puścić... W wyborze na ten przykład o... dessous o... w wyborze kostiumu kąpielowego... Ot co... Mówię panu to całkiem szczerze, poprostu pro publico bono... o... Taki kostium, jak ten, który pani Lola tu nam zaprezentowała (*z obzydzeniem*), kompromituje poprostu, dyskredytuje, deprecjonuje cały że tak powiem naród. Tak panie...

KARPIŃSKI (*zdumiony*). Jakto? Ten nowy kostium? Od Bergsohna?...

RAKUZZKI. Od Bergsohna czy nie od Bergsohna, wszystko jedno. W każdym razie fatalny! Tu już intuicyja powinna była podszeptać pani Lali, że czegoś podobnego bez fantazyi się nie zawdzie... To rzuca cień na nas wszystkich... Można nam... nam polakom wiele robić zarzutów, ale z dobrego smaku! z gustu panie byliśmy dotychczas na całym globie znani... (*westchnął*). Teraz i to, dzięki wam... tak...

KARPIŃSKI (*smętnie*). No, dobrze, Ależ to przecież krój najmodniejszy! Od Bergsohna... Sto marek kosztował...

RAKUZZKI (*surowo*). Od Bergsohna, czy nie od Bergsohna... powtarzam panu: niema się czem chwalić. W Gdańsku się takich rzeczy nie kupuje... Wie pan dobrze chyba, że hakaty niż dobrego nigdy nie wymyślą... W tym kierunku, oczywiście... W innym może... może... no! jeszcze męzkie rzeczy... no... (*szybko*). Zresztą, co można wogóle dobrego kupić za sto marek?... Mój panie... W każdym razie teraz zapóźno, panie Lolu... Co się stało, to się nie odstanie. Bądź co bądź, dla nas wszystkich... rodaków pańskich blamanż... co to obwiąż w bawełnę... blamanż... (*otwiera drzwi szklane*). Żegnam pana...

KARPIŃSKI (*zgnębiony*). A gdzie Lala teraz?... Nie wie radca?

Ziutek uroczyście kończy robotę; zamyka pudło, wstaje.

RAKUZZKI (*już na progu, sztywnie*). Wie pan, że nie mam pojęcia (*parasolem na Ziutka pokazał w głębi*). O... ale ten tam... pański protegowany... on teraz pana poinformuje najlepiej... Hehehe!... Adieu... (*zniknął za drzwiami*).

Karpiński stoi błądy, zirytowany, niezadowolony. Ziutek gwizdże... Chwila ciszy... Karpiński chrząknął, postąpił dwa kroki ku oknu. Ziutek zerknął nań z podłoba.

ZIUTEK (*czyszcząc sobie palce chusteczką, zaccępnie*). Pan kogoś szuka... czy nie?...

KARPIŃSKI (*uprzejmie*). A tak panie Zenonie... I może pan mi udzieli informacji (*chrząknął, iakając się*). Czy pan przypadkiem nie wie, gdzie moja żona?...

ZIUTEK (*obojętnie*). A, pani Lala?... Nie wiem... Czyż ja jestem aniołem stróżem pańskiej żony?

KARPIŃSKI (*chrząknął, połknął ślinę, zdumiony*). Jak to?... Co?... No, nie!... myślałem, że pan tu siedząc, widziałeś...

ZIUTEK. A czym widział?... To tak pan pyta... To znowu co innego... To znów inna para kamazy... Otóż, jeżeli

jest interpelacja o „widział“, to widział! (smętnie). Niestety „widział“.

KARPIŃSKI (*niecierpliwie*). Więc widział pan... Poczóż zaraz te kawały malarskie... (*kpiąco*). I dlaczego, niestety?

ZIUTEK (*hegmaticznie*). Dlaczego, niestety?... Ano, dlatego, że wolalby być nie widzieć, przynajmniej.

KARPIŃSKI. Dlaczego? Dlaczego? (*kpiąco*). Czy i panu może ten kostium od Bergsohna nie wydał się dość malarski? dość artystyczny?...

ZIUTEK (*drażniąco*). Dość malarski? Kostium?... Od Bergsohna?... (*poważnie*). Nie mówmy o tem, panie Karolu... To są rzeczy zbyt bolesne!... zbyt straszliwe... Zresztą, przyznam się panu, że niezbyt przypatrywałem się temu kostyumowi... Mnie nie ten kostium degutował. Nie!... kostyum to jest rzecz, którą można zmienić ostatecznie... spalić... zniszczyć... tak!... dać psom na rozszarpanie! o...

KARPIŃSKI (*niespokojnie*). Więc co?... Więc co, jeśli nie kostyum... bo już wiem doradwy...

ZIUTEK. Mnie, wie pan, oburzało w tem wszystkim coś innego... coś całkiem innego... nie malarska, nie estetyczno-artystyczna strona tej afery...

KARPIŃSKI. Ehe... ehe... A jaka? ZIUTEK (*cedząc powoli*). A etyczna... Rozumie pan? etyczna!... Mnie tu interesowała tylko ta łatwość, rozumie pan. Łatwość, z jaką panu przyszło pozwolić żonie... wdziaki swoje, że się tak wyrażę... i to w Familienbadzie.

KARPIŃSKI (*surowo*). O, proszę kochanego pana! passons! to już niech pan pozostawi do kwalifikacji mnie, wyłącznie mnie... te skrupuły... tę stronę etyczną...

ZIUTEK. Z miłą chęcią! Z miłą chęcią... Pozwolę sobie tylko na uwagę, że w tym wypadku Familienbad nie jest właściwym, że tak powiem: repussuarem, terenem! tłem! sztafażem dla kobietv... dla damy w tych warunkach...

KARPIŃSKI. O, to się pan grubo myli... albo pan przesadza, jak zwykle! dla kawału, dla bohemiczkiego kawału!... W Familienbadzie dzisiaj kapały się i inne panie. Nietylko hebrajki! I pani Roma i pani Isia, i pani Okuniewska... Nawet Mucia Śledzińska...

ZIUTEK (*przerzywia z zapalem*). Ach, pani Śledzińska!... Pani Śledzińskiej wszystko wolno! To coś całkiem innego.

KARPIŃSKI (*niecierpliwie*). Zresztą, co tam o tem. Ja nie widzę powodu dla którego miałbym się przed panem usprawiedliwiać czy tłumaczyć, dlaczego pozwoliłem Lali kapać się tu czy tam... tu czy tam... To wprost śmieszne... Tak! To wprost śmieszne... Więc pytam się pytam się pana po raz drugi, czy pan nie wie, gdzie teraz moja żona?

ZIUTEK (*poważnie*). Śmieszne?... Nie panie Karolu... To nie jest śmieszne... Powtarzam panu, że z panią Śledzińską to coś naprawdę, coś zupełnie innego (*z naciskiem*). Pani Śledzińska może sobie pozwolić na kąpienie się w Familienbadzie! Bezwarunkowo może!... Pani Śledzińska! Żadnej uimy to ani jej! (*dobitnie*) ani nam wszystkim nie przynosi...

KARPIŃSKI. A mojej żonie przynosi?... Tak? (*z ironią*). Więc pani Śledzińska jest niby coś tak znacznie mizerniejszego, gorszego, czy jak, że jej wszystko wolno... wszystko wypada?... toś pan chciał powiedzieć. No panie Zenonie, pan daruje... ale pana zapał zbyt unosi...

ZIUTEK (*sztwywnie*). Nie panie Karolu, mnie zapał nie unosi. Ja obstać stanowczo przy swoim... Co może ująć pani Muci Śledzińskiej, tego absolutnie wystrzegać się powinna pańska żona... (*ironicznie*) choć by to miało stanowczo przechylić polaków do Drajbundu, a radcy Rakuzkiemu ściągnąć order Złotego Runa na barani kark...

KARPIŃSKI (*zawstydzony*). Co?... Co... Drajbundu? Rakuzkiemu?... Co znaczą te koncepty? Ja pana nie rozumię. Obstać tylko przy tem, że kąpienie się mojej żony w Familienbadzie tak samo jej ujmy żadnej nie sprawiło, jak i innym paniom jej sfery... jej kółka, jak pani Muci naprzykład... ot...

ZIUTEK (*zaczepnie*). A ja obstać przy tem, że gdy kąpienie się boskiej, bosko harmonijnej pani Muci żadnej uimy jej nie sprawiło... to... (*nagle zmieniając ton*). Zresztą, zostawmy to!... I tak jeden drugiego nie przekona... (*niespodziewanie*) Kiedy państwo wyjeżdżacie z nad niejasnego brzegu?...

KARPIŃSKI (*zaskoczony*). Kto?... A my? Kiedy wyjeżdżamy? (*surowo*). Wie pan, że nie wiem właściwie... W każdym razie już wnet...

ZIUTEK. Wnet?... KARPIŃSKI. Tak... Wnet... I żadne namowy, żadne nalegania nic by tu nie pomogły.

ZIUTEK (*spokojnie, cedząc*). Bardzo słusznie... Powinieneś pan żonę koniecznie na Południe wywieźć... Janz Ihrer Meinung, jakby powiedziała 29-ty. Ten wyjazd nawet godzi się państwu przyspieszyć...

KARPIŃSKI (*zdumiony*). Co?... co?... Dlaczegoż znowu?

ZIUTEK (*twardo, patrząc Karpińskiemu w oczy*). Ze wzeledu na dobro pani Lali... tylko... Pani Lala istotnie wygląda fatalnie. Widzieliśmy ją tu dzisiaj po kąpieli... Żal było wprost, patrzeć... Czy dlatego, że woda miała za ledwie 16 stopni ciepła... czy też może dlatego, że zaczęła pani Lali śledziona dolegać... dość... że, wie pan... była cała sina... limfatycznie sina... karnacja istotnie chorobliwa... A, że i architekturę ma pani Lala niezwykle nienorocyonalną... choć modna (*wzgardliwie*), dziś modną! aktualnie, więc rzeczywiście patrzeć łatwo brała... A to, wie pan, rzuca cień na całą naszą pleć piękną (*kłenicząc oślepiałego Karpińskiego pp plecach*). Można nam... nam polakom, ostatecznie robić wiele zarzutów, ale z pięknych kobiet byliśmy dotychczas na całym globie znani (*westchnął smętnie*). Teraz i to nsiakrew! (*biorąc pod pachę ralsbret*). No, żegnam pana... Pan temu nic nie winien... Do widzenia... (*idzie w stronę drzwi z lewej*). Salem Aleikum sir!

Karpiński stoi jak zmyty, patrzący okół bezdalnie. Nagle drzwi z lewej otwierają się i zjawia się w nich pani Śledzińska; wykapaną, zarumienioną; cera

jak to mówią: krew z mlekiem prosto od krowy; mokre włosy prowizorycznie tylko spięte dwoma szpilkami. Pani Śledzińska natyka się wchodząc wprost na Ziutka.

ZIUTEK (*cały rozpromieniony, zastępując jej drogę*). Pani tu?... Ach cóż za spotkanie szczęśliwe! Jakimż bogom opiekuńczym zawdzięczać mogę ten traf trzykróć błogosławiony.

SLEDZIŃSKA (*z dumiona*). Co? Czy to do mnie wszystko? Ej, czy pan się nie pomyliłeś w adresie, panie Ziutku?

ZIUTEK. Czy to do pani?... I pani może, pani ośmiela się pytać jeszcze?... (*z emfazą*). Chyba pani już bardzo dawno nie przyglądała się w lustrze temu wulkanicznemu objawieniu piękna, jakie po drugiej stronie szkła odbija się na prześcieradle żywego srebra? (*zastąpił jej drogę*).

Lolo Karpiński, machnąwszy rakieta z bezzręczną pogardą, przeszedł obok nich, zlekka kapelusza uchyliwszy. I wychodzi drzwiami z lewej.

SLEDZIŃSKA. W każdym jednak razie przyglądałam się przez to szkło (*wskazuje na okno*) jak pan, panie Ziutku, odbijałeś się w szkłe dużej butli Whisky! Soda-Whisky!

ZIUTEK (*rzucając tekę na stół, gaskońsko*). Niech pani nie żartuje... Niech pani nie przypisuje działaniu whisky tego, co odczuwać musi na widok pani dzieć... starzec... kaleka!... koń rasowy!... wszystko, co żyje... co się rusza!...

SLEDZIŃSKA (*zaśmiewając się*). Od kiedyż to... od kiedy panie Ziutku?... Kiedyż to pan pierwszy raz zauważył moją egzystencję? Byłam przekonaną, że pan mnie niebogiej wogóle nie widzi, nie dostrzeża!...

ZIUTEK. Ja?... ja pani nie widzę?... Ja?... (*gorąco*). Ja nie chciałem pani widzieć, bałem się, unikałem, jak ognia! Instykt samozachowawczy mnie ostrzegł! Intuicya!... O... Ale kiedy dziś po raz pierwszy pani zobaczyłem, jako tę Venus Anadyomene, wylaniającą się z pośród bałwanów...

SLEDZIŃSKA (*figlarnie*). Och! pośród bałwanów mnie pan tyle razy widywał...

ZIUTEK. Zapewne! Zapewne! Ale pośród szarych bałwanów. Dziś po raz pierwszy zobaczyłem cud pani ciała, liżany pieniącymi się ozorami zielonych bałwanów... Przyszedłem! Zobaczyłem! Oniemiałem.

SLEDZIŃSKA (*wzruszywszy ramionami, obojętnie*). Czyż ja naprawdę mogłabym się panu choć cokolwieczek podobać? Czyż ja mam w sobie coś malarskiego? Coś artystycznego? (*poprawia sobie włosy*).

ZIUTEK (*z ironią*). Pani? I pani jeszcze o to pyta? Czy pani niby nie wie? Hehehe... Pani niby nie zdaje sobie doskonale sprawy z tego, że pani ma tak rzadko dziś spotykaną egzotyczność pełności! walory bujności! doskonałej, definitywnej bujności!...

SLEDZIŃSKA (*skromnie*). Och, może... może... Ale to przecież teraz całkiem nie jest w modzie!

DN.